Nr. 40. We Lwowie dnia 3. października 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przyczynki do biografji Ujejskiego.

O żadnym może z poetów naszych okresu Mickiewiczowskiego, rozumie się z tych, których gwiazdy świeciły silnem i ożywczem światłem, nie pisano tak niewiele, jak o Kornelu Ujejskim, mimo, że utwory Jeremiego polskiego stały się własnością ogółu prędzej, niż czyjekolwiek inne. Charakterystyka literacka poety pióra p. A. Mazanowskiego (Stryj 1893. Program gimnazjum), studjum Fr. Rawity p. t. „Ostatni romantyk" (Świat — Kraków 1893), książka A. Bądzkiewicza (1893) i sylwetka jubileuszowa prof. J. Tretiaka (Kraków 1893), oto niemal wszystko, — nie licząc szematycznych notat w podręcznikach historji literatury i przygodnych artykułów dziennikarskich, — co o poecie pisano. A jednak niejeden przyzna mi słuszność, jeśli powiem, że Ujejskiemu bardziej, niż komukolwiek innemu, należy się gruntowna i wyczerpująca monografja literacka, w którejby znalazło należyte i wszechstronne ocenienie wszystko, co wyszło z pod pióra poety, a więc nietylko poezje, ale także i liczne artykuły dziennikarskie i „listy z pod Lwowa", ogłaszane w „Dzienniku literackim" i przepiękne przemówienia, te słusznie nazwane „żywe słowa Jeremiego", które doczekały się, aż trzech wydań, a z pewnością niejednego jeszcze znajdą nakładcę. Zasługuje to wszystko tembardziej na rozpatrzenie, że we wszystkiem, co Ujejski pisał lub mówił, jest ten sam wysoki nastrój, który stanowi znamienną cechę jego poezji. Poeta, który mówił o sobie, że jest „prawie kapłanem" swego nieszczęśliwego ludu, nie zeszedł nigdy z tego stanowiska, ale wytworzył sobie swój własny, nawskróś samodzielny i oryginalny pogląd na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu i na rolę jego w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, pogląd, który może nie przypadnie do gustu wszel kiego rodzaju filistrom, ale, który każdemu, kto głębiej rzeczy brać zechce, ukaże we właściwem świetle tę duszę potężną, mocną uczuciem, dającem jej zdolność rozumienia losów narodu lepszego, niż to, które zwyczajni grzebacze naukowi są w stanie zdobyć długoletniemi, mozolnemi studjami.

Materjał do monografji o Ujejskim kryje się nietylko w źródłach drukowanych, ale także 1. w mnogich wspomnieniach osobistych znajomych i przyjaciół poety, i 2. w jego listach, których sporo spoczywać musi w prywatnych rękach.

Pierwsze spisywać, drugie wydawać, to obowiązek tych, którzy się znajdują w tak szczęśliwem położeniu, że to uczynić mogą. Nikomu nie wolno twierdzić, że jego wspomnienia o poecie, lub list do niego pisany, zamało ma znaczenia, aby go podawać do wiadomości publicznej. Na pozór nic nie znaczący szczegół, lub list o treści nibyto błahej, może posłużyć przyszłemu biografowi do schwycenia jakiegoś rysu, właściwego Ujejskiemu, ułatwi dopatrzenie się jakiejś ukrytej sprężyny jego działania, da możność zupełniejszego odtworzenia jego wspaniałej postaci. Niechaj nikogo nie odstrasza, że mogą przyjść ludzie małego ducha, którzy z tych szczegółów, spisanych we wspomnieniach, albo z tych listów, odsłaniających codzienne troski poety, będą tworzyli obrazy blade, może nawet fałszywe. Tak jest i tak być musi, że duchy wielkie przez pewną ilość mikrokosmów psychicznych, właściwie pojęte nie będą, a suche umysły pedantycznych krytyków będą się zawsze siliły na obniżenie wartości dusz niepospolitych. Ale obok tych pospolitości, szarpiących sławę Ty-

tanów ducha, nam wierzyć, iż znajdą się inni, co z owych cegiełek, o których gromadzenie wołamy, potrafią ułożyć przepyszny obraz mozaikowy, a tchnieniem duszy własnej nadadzą mu taką spoistość, że jej nie nadwerężą żadne uderzenia i wstrząśnienia.

Te myśli powodują nami, jeśli poniżej ogłaszamy parę listów Kornela Ujejskiego, objaśniając je w przypisach szczegółami, bez których byłyby one niezrozumiałe.

I.

Kochany Panie Władysławie! [1])

Dziękuję Panu najserdeczniej za tak obszerne wiadomości o Kaziu. [2]) Zadowolniłeś Pan boleśnie tę ciekawość serca, co nieodstraszona tem, że zdobywa tylko coraz nowsze cierpienia, pragnie dowiadywać się o każdej chwili życia drogiej a nieszczęśliwej osoby. Sprawia nam to prawie ulgę, gdy możemy w płaczu przechodzić krzyżowe jej stacje. Toż i duch biednego Kazia weseli się, jeśli dostrzeże myśl swoich przyjaciół, śledzącą z religijną cześcią każdy ślad jego na długiej drodze tułactwa. Jeszcze raz więc dziękuję Ci, kochany Panie Władysławie, za Twoje smutne wieści: spędziłem kilka wieczorów, utkwiwszy oko mego ducha w ten okręt, rzucany burzą, co go niósł do ostatniej już przystani! [3]) I zdaje mi się teraz, że byłem przytomny śmierci Jego i że moja łza upadła na te jego piersi, bogate, jak każda pierś wyższego człowieka, w wielkie natchnienia boleści. Wkrótce po odebraniu Twego listu odwiedził mnie Władysław Zawadzki, wracający z Podola, odczytywaliśmy kilka razy list pana, a długo potem uprzytomnialiśmy sobie w pamięci drogie, niepowrotne chwile, spędzone w towarzystwie kochanego Kazia. Na pragnieniach i na wspomnieniach schodzi życie człowieka!

Przed miesiącem odebrałem z poczty list Henryka Jabłońskiego [4]), datowany z Cejlonu. List zawierał jedynie bardzo ładny wiersz, pełen tęsknoty za krajem, zresztą żadnej wiadomości o sobie, żadnej wzmianki, co obecnie porabia w Indjach, gdzie mam moją odpowiedź adresować. Taki to kłopot z poetami! Ty, kochany Panie Władysławie, korespondując z nim oddawna i zapewne prozą, wiesz lepiej odemnie, dlaczego Henryk udał się do Cejlonu, będąc przeznaczony do Zanquebaru i jaki jest na teraz stały jego adres. Bądź łaskaw, donieść mi o tem. Chciałbym mu odpisać, choćby za karę równie wierszem. Zasyłając Panu wyrazy pełne serdecznej przyjaźni, a w imieniu mojej żony i Kordjanka dziękując Mu za jego pamięć, zostaję szczerym jego przyjacielem i sługą.

Podlipce 1865 r. K. Ujejski.

(Dok. nast.). *J. A. Sierpniak.*

---

[1]) Władysław Wróblewski z Czortkowa, długoletni przyjaciel poety.

[2]) Kazimierz Wróblewski, starszy brat Władysława, przyjaciel młodych lat poety, który kiedyś ułożył się był z nim oraz z Władysławem Zawadzkim, że na jeden temat napiszą powieść pt. »Ona była niewinna« (»Dziennik mód paryskich« Kulczyckiego Lwów 1846 i 1847), K. Wróblewski dał opowiadanie pt. »Skandal«. (Dziennik mód par. 1846). Ujejski nie dotrzymał zobowiązania. K. Wróblewski napisał także dramat pt. »Początek wielkiego dramatu«, wydany w Poznaniu pod pseudonimem Gracjana Rakowieckiego.

[3]) K. Wróblewski wydalony z kraju, jako przestępca polityczny przez namiestnika Gołuchowskiego, zmarł na żółtą febrę na okręcie w drodze do Ameryki.

[4]) H. Jabłoński, poeta, autor Gwidona i mnóstwa wierszy lirycznych, drukowanych w »Dzienniku literackim« (1852—1864), wspólny przyjaciel Ujejskiego i Wróblewskich był konsulem francuskim w Zanquebarze († 1869 w Marsylji).

Z ZAPADŁYCH KĄTÓW.

NOTATKI WAKACYJNE.

(Ciąg dalszy).

Weźmy dla przykładu sąd tutejszy obwodowy, który w ostatnich czasach dawał o sobie więcej mówić z powodu procesu „barabów“. Toż tak sumiennego prowadzenia sprawy, jak radcy Siengalewicza, trudno gdzieindziej znaleźć. A wotanci nie są wcale nieruchomymi figurantami. Nie spotyka się wśród nich typu ztetryczałego biurokraty o cytrynowej twarzy, który z cwikierem spadającym z nosa podczas rozprawy załatwia sobie ze spokojem ducha inne „kawałki“, ale za to ma się przed oczami takie uosobienie sumienności, jak np. radca Kaszewko, który każdy szczegół do każdego obwinionego się odnoszący, notuje sobie w odpowiedniej rubryce, tak że w każdej chwili ma dokładny przegląd sprawy, głosuje przy wyrokach z matematyczną ścisłością, a nawet po latach kilku na podstawie swoich notatek, jest w stanie rozstrzygać najzawilsze kwestje na temat dawnych procesów. To wcale niemałomiasteczkowość!

Albo prokurator z owego procesu, p. Rojecki, wysoki mężczyzna o impetycznym sposobie mówienia i tubalnym głosie. Jestto człowiek, który po za obrębem pojęcia „szlachec-

nic nie widzi, który sobie wyobraża, że każdy szlachcic, jest temsamem namaszczonym przez Boga i natchnionym wszystkowiedzem, naturalnym przewódcą, człowiekiem z natury uczciwym. Jestto więc typ niewątpliwie społecznie ujemny, ale od takich typów roi się w naszym kraju. Inni jednakże z tego pokroju ludzie należą zarazem do rzędu społecznych próżniaków, którzy umieją się tylko odwoływać do pomocy żandarma i bagnetu. P. Rojecki natomiast chociaż w mylnym kierunku ale z dobrą wiarą rozwija nadzwyczaj gorliwą czynność. Jako antysemita, sprowadza nawet golarza katolika do Brzeżan, agituje osobiście i zbiera od ludzi „słowa honoru“, że tylko do niego golić się będą chodzili; zakłada stowarzyszenie rzemieślnicze, buduje dla nich własne gmachy, dostarczając na to pieniędzy, z funduszów sobie powierzonych, które umieszcza na pierwszem miejscu hipoteki. Z czasem taka ruchliwość musi także na postępowe żywioły podziałać pobudzająco.

A ogółem wziąwszy do wydatnej działalności publicznej, nawet nie partyjnej, jest w Brzeżanach obszerne pole i potrzeba jej wielka. Do ważnych potrzeb, które po zajęciu się tą sprawą i jakiej takiej agitacji dadzą się załatwić, jest sprawa pomieszczenia brzeżańskiego gimnazjum. Dotychczas gnieździ się ono na pierwszem piętrze gmachu ratuszowego mocą dawnego serwitutu, do którego jest obowiązany hr. Potocki. Przed dziesiątkami lat, kiedy wogóle gimnazja i szkoły poprzestawały na dość azjatyckiem pomieszczeniu, mogło to być zadowalniającem, dziś jednakże zwłaszcza wobec tego, że gmach się psuje i podupada, wobec zmienionych pojęć o hygjenie szkolnej, wobec tego, że nawet małe prowincjonalne miasta pobudowały gmachy gimnazjalne, czas by był i Brzeżanom o tem pomyśleć, tembardziej, że łatwo i bez wielkiego kosztu dałoby się to uczynić. Rząd na budowę gimnazjum w Brzeżanach ma już 40.000 złr., jeżeli do tego dołączymy spłatę serwitutu, ciążącego na gmachu ratuszowym, obliczając ją na 25.000 złr. otrzymamy 65.000 złr., od których niezbyt daleko już do kwoty potrzebnej na budowę gimnazjum, zwłaszcza że gmina powinnaby dać odpowiedni kawał gruntu.

W okolicy Brzeżan są liczne wycieczki: do Rurysk, lasku świerkowego, w parowie położonego, — do Raju, gdzie jest pałac Potockich i niegdyś prześliczny ogród, do wielkiego lasu zwierzynieckiego, do Leśnik, w stronę Rohatyna położonych, do Monasterka, do Głuchej doliny, gdzie są wąwozy tak przepaściste, jakby w najwyższych górach, gdzie teraz idzie kolej na wysokość ponad szczyty najstarszych i najwyższych dębów. A wszędzie tak jest pięknie, że dziwić się wypada, że Brzeżany nie są zakątkiem poetów. Wprawdzie tu i owdzie w życiorysach wybitnych pisarzy czyta się, że chodzili do szkoły w Brzeżanach, ale żaden nie należał do nich krwią i duszą, a w ostatnich czasach nawet ta sława Brzeżan podupadła. Może dlatego, że stały się one tak zapadłym kątem? Mimoto smutno opuszczać „białe“ Brzeżany, a przy wyjeździe myśl i serce za niemi się ogląda...

II. Rohatyn.

Skąd pochodzi dość dziwaczna nazwa „Rohatyn“, którą dźwiga miasteczko o mil cztery od Brzeżan położone, etymologowie tego nie rozstrzygnęli, a różni różnie o tem mówią. Niektórych zdaniem mieni się ta miejscowość od „rohatyny“, starodawnej dzidy, używanej jako pocisk, reprezentacja zaś miejska w Rohatynie krócej tę kwestję rozstrzygnęła, pakując do swego herbu złoty róg na niebieskiem polu. W każdym razie nazwa ta jest bardzo dawną, skoro już Piotr Skarga w Rohatynie, jako mieście, pełnił obowiązki proboszcza.

Nie jakiemś wielkiem ogniskiem historycznem jest Rohatyn, w każdym razie jednak miejscowością, która dużo pamięta i dużo widziała. Smutną więc, w najbliższem otoczeniu przynajmniej, okolicę jego obsiadły podania i legendy, „trącące myszką“, jak stare wino. (Dok. nast.)

Eliza Orzeszkowa.

LIŚĆ USCHŁY.

(Ciąg dalszy).

Wkrótce Garski doścignął, czego pragnął, a że ja również byłem jednym z zawzięcie ścigających i na różne zdobycze *reflektujących*, więc dochodziłem często do redakcji wielkiej gazety, na której czele stanął. Przepych, bogactwo, tłum, tłok, blask, prawdziwie modernistyczna świątynia! Cóż dziwnego? Przebywa w niej bogini współczesnego świata, którą jest polityka, i kuźnię swą posiada inny jeszcze modernistyczny bożek, imieniem: „pieniądz“. Na giełdach, w przedsiębiorstwach, w bankach, handlu itd. pieniądz napływa, odpływa, okręca się, mnoży i niknie, stosownie do tego, jak tu, w tej świątyni kapłani jej pokręcają, odkręcają, naciskają i zwalniają sprężyny rozmaite. Cienki, giętki, w końcu zaróżowiony palec Garskiego, nieustannie i czujnie przybliżonym był do tych sprężyn, i to właśnie nierzadko mię do niego sprowadzać musiało. Raz, pamiętam, jak w redaktorskim

gabinecie swoim, pełnym pluszów, bronzów i papierów, przy wielkiem biurku na drogocennym fotelu siedząc, z postawą Radamantesa, wydającego sąd nad duszą, do piekieł przybyłą, nauczał młodzieńca jakiegoś, mającego wyciągniętą twarz i na kwintę spuszczony nos ideologa. Bo zauważyć należy, że w czasach naszych ideolodzy stale mają nosy spuszczone na kwintę i po tym rysie niemylnie ich wśród tłumu rozpoznawać można. Garski zaś miał binokle na oczach, fałdę myślicielską pomiędzy brwiami i mówiąc, po książęcemu trochę dzielił sylaby.

— Co nam pan w artykule swoim prawi o etyce wszechludzkiej, o patrzeniu na rzeczy z punktów wysokich, o prawach historycznych, wymiarach sprawiedliwości etc. etc. To do nas nie należy, kochany panie, nie na-le-ży! Na to jest dekalog, są księża, poeci, no... i pensjonarki! My zaś, ludzie pozytywni, gruntowni, nie znamy i znać nie chcemy nic, oprócz trzech rzeczy, któremi są: fakt, cyfra i interes. Niech pan sobie za-pa-mię-ta! Fakt, cyfra, interes. W tem mieści się polityka, finanse, przemysł, postęp — słowem: cały świat współczesny, cały mo-der-nizm. Resztę, kochany panie, wszystką resztę z tych trzech atutów, odsyłamy do poematów, do romansów, do konfesjonałów i do... do re-dak-cyj-ne-go kosza...

I niepodobna wyobrazić sobie bardziej wyniosłego i zarazem eleganckiego giestu nad ten, z jakim Garski, wskazując przy ostatnich słowach kosz na papiery, zaokrąglił ramię tuż przed pobladłym nosem ideologa.

Innym razem słyszałem, jak mówił:

— Siła, panie kochany, siła oręża, czy rozumu, czy bogactwa lub sprytu, ale zawsze i tylko siła! To Kolchida, Sezam i katechizm naszego dzisiejszego świata. Reszta — do lamusu przodków!

Więc fakt, cyfra, interes i siła, a potem jeszcze tylko jedna rzecz: Użycie.

Umiał używać! jaki to był miły chłopak i zarazem jakie to było pyszne zwierzę na rozmaitych kolacjach, śniadankach i innych zebraniach, wśród których wyłącznie królowały: *Lied*, *Weib und Wein*, a nawet tylko *Weib* i *Wein*, bo Minnesingerzy ze swojem *Lied* dawno już zamieszkali w lamusie przodków! Ale przy *Weib* i *Wein* Garski nabierał werwy i natchnienia, pozbywał się wszelkiej wyniosłości i sztywności, stawał się w całem znaczeniu *bon enfant* czy *bon prince*, miłym chłopcem bez żółci, ani ironji. Opowiadał anegdoty, śmiał się, czasem nawet, pod wpływem szlacheckiego atawizmu, współbiesiadników obejmował i całował. Ale niechże mu w takich chwilach jaka kobieta lub jakie o nią współzawodnictwo silnie do głowy i zmysłów uderzy!

Chociaż dawno już przestałem widywać go w podobnych okazjach, mam jeszcze przed oczyma uśmiech tych warg czerwonych, którego nie powstydziłby się Heljogabal, rozciągnięty na fijołkach, i pierścienie tych czarnych włosów, podnoszące się jak różki Pana, bożka natury, nad czołem, które całkowicie traciło myślicielską zmarszczkę i zapływało ciemnym rumieńcem, gdy oczy topiły się w płynnym miodzie.

Raz widziałem go w postaci, nie Fauna albo Satyra, lecz pantery. Było to na giełdzie, w czasie wielkiego targu o pewne papiery publiczne. Dość często widywałem Garskiego przy rozmaitych robotach pieniężnych, bo jako akcjonarjusz i urzędnik kilku banków, częstym był gościem giełdy, której ja stałem się prawie domownikiem. Zazwyczaj zachowywał przy tych robotach zimną krew i spokój, chociaż można było dostrzedz, że wynikały one, nie z natury, lecz z pracowitych zwycięstw, odnoszonych nad naturą przez silną wolę. Wtedy jednak rozprawa giełdowa toczyła się z gwałtownością wyjątkową. Stronnicy dwóch potentatów finansowych stanęli z sobą do boju i niczem wobec niego staro-rzymskie cyrkowe walki błękitnych i zielonych! Szło o podtrzymanie albo upadek olbrzymiego przedsiębiorstwa, którego papiery jedni usiłowali podrzucić do wysokości nieba, inni zmieszać z prochem ziemnym. *Hausse! baisse! Hausse! baisse!*

Garski był po stronie *hausse'y.* Stał na czele stronnictwa; od zwycięstwa lub klęski zależało mu bardzo wiele pod względem pieniężnym i wielu innymi względami. Więc stopniowo ze skóry światowca, statysty, goga wydobywał się dzikus, a z dzikusa łeb i pazury ukazywała pantera. Im dłużej trwała i w sposób niebezpieczny na obie strony kołysała się walka, tem widoczniej wzdymały się w nim te spodnie warstwy natury ludzkiej, które świadomie lub nieświadomie nosimy w sobie wszyscy i w których, jak niedźwiedź podczas mrozów, śpi do czasu zwierzę człowiecze, *la bête humaine.*

Na plecach i na ramionach Garskiego widać było pod cienkiem suknem drganie muskułów, zrazu rzadkie, potem coraz częstsze i gwałtowniejsze; we wklęsłościach policzków rumieńce nabrały sino-gangrenowatej barwy, kędzierzawe włosy mnóstwem czarnych rożków powstały nad głową; oczy co moment, to osłaniane przez drżącą rękę binoklami, to od nich uwalniane, ciskały snopami iskier, a wargi, jak zwykle czerwone, rozwierając się szeroko dla wydawania giełdowych haseł, świeciły białością drobnych, ostrych, zjadliwych, w pełni wyszczerzonych zębów.

Wbrew zwyczajowi swemu, on, tak dystyngowany i elegancki w układzie, miotał się teraz we wszystkie strony, ku przeciwnikom

wyciągał ściśnięte pięści, ze sprzymierzeńcami porozumiewał się przez spojrzenia, uśmiechy i giesty szyderskie, jadowite, niekiedy błazeńskie. Wprost, jak to mówią, wyskakiwał ze skóry, a raczej miotało nim, w głosie mu ryczało, przez oczy parskało i przez drgającą skórę wyskakiwało zeń zwierzę, drzemiące pod kołderką cywilizacji, lecz teraz zapachem żeru obudzone.

Nie biorąc w tej grze osobistego udziału (co, nawiasem powiedziawszy, przyprawiało mię o rozpacz), z ciekawością przypatrywałem się Garskiemu, lecz daleko ciekawszą jeszcze rzeczą, niż wściekłość w czasie walki, było to, co po jej ukończeniu nastąpiło.

Garski ze stronnictwem swojem odniósł zwycięstwo. Akcja przedtem dobrze obmyślana i przygotowana, a potem z piekielną furją przeprowadzona, zadała przeciwnikom klęskę całkowitą. Znaczne zyski pieniężne, fama biegłości i energji w sprawach tego rodzaju, wdzięczność potenta, którego armją dowodził w boju — oto były jasne, jak dzień, korzyści z odniesionego zwycięstwa. Zdaje się: świetnie!

Czegóż chcieć więcej?

Jednak, gdy na czas jakiś utraciwszy go z oczu, spotkałem się z nim wypadkiem pośród najsamotniejszego korytarza giełdowego gmachu, nie miał wcale miny tryumfującej i uszczęśliwionej. Przechadzał się sam jeden po korytarzu, a ktokolwiek ujrzałby go z tyłu, mógłby mniemać, że to jeden ze zwyciężonych albo wogóle człowiek strapiony, bo ręce miał splecione za plecami przygarbionemi, kark zgięty i spuszczoną głowę. Gdy w twarz mu spojrzałem, spostrzegłem, że była jakoś wydłużoną, zagasłą, szarawą, a gdy winszować mu zacząłem, jak błyskawica po deszczowej chmurze, przebiegła po niej ironja.

— Zapewne, zapewne — wycedził przez zęby — zwycięstwo kapitalne, ale...

Ręką uczynił giest lekceważący.

— Czy to takie walki i zwycięstwa na świecie bywają!

— To tryumf, o którym pisać będzie cała Europa! Czegóż można pragnąć więcej — wołałem z zapałem neofity, w najwyższym stopniu zbudowanego.

Jego wzrok przygasły, omdlały, leniwie błądził po mrocznej głębi korytarza.

— Europa jest mała — przemówił zwolna — kiedy idzie w takich rzeczach o ideał: czytaj pan dzienniki amerykańskie. W porównaniu z tem, co tam się robi, myśmy liliputy i interesa nasze lilipucie...

Ożywiając się, zaczął opowiadać jakąś amerykańską historję giełdową, istotnie kolosalną. Ruchome nozdrza rozwierały się mu i ściągały, jakby od węszenia czegoś dalekiego a pożądanego. Potem przygasł znowu.

— Zapewne — powtórzył — mam słuszną przyczynę być zadowolonym. Tylko że, widzi kochany pan, jest z tem tak, jak gdy wypuszczamy z objęcia piękną kobietę... Jest piękną, pożądaliśmy jej wściekle, dobijaliśmy się o jej posiadanie zapamiętale, a gdyśmy cel osiągnęli, czujemy, że czegoś jeszcze jej niedostawało, że mogą być na ziemi jeszcze piękniejsze, słodsze, milsze nad nią kobiety, że słowem nasyciwszy pragnienie, zostaliśmy tak, jakeśmy pierwej byli, pragnącymi. Nie prawdaż? Czy pan tego nie doświadczał?

— Jednak.. — zacząłem protestować.

(Ciąg dalszy nast).

Prasa poznańska.

(Ciąg dalszy).

Było w ciągu tego czasu parę artykułów szczerze demokratycznych, bardzo rozsądnie i taktownie pisanych, bywały nawet czasem zdania troszeczkę do liberalnych podobne. — Po prowizorjum redaktora Głębockiego, nastąpiło panowanie red. Łebińskiego. — Tym razem „Dziennik“ na zmianie stracił w każdym kierunku, stracił nawet pod względem literackim, co wydawało się już niemożliwem — natomiast zyskał na jednolitości. Wszystko, co tylko było w „Dzienniku“ coś wartem, co go ilekolwiek czyniło sympatycznym, naraz znikło ze szpalt jego; wyrugowano z nich nawet największą ozdobę tego pisma, korespondencje warszawskie — a zastąpiono takiemi, które w ton stałego współpracownika „Czasu“ i „Kraju“ trafiały. Styl parlamentarny i przyzwoity, stanowiący bądź co bądź stronę dodatnią, nie zawsze już dopisuje i dawna powaga „Dziennika“ — owa milcząca powaga świętego rabina — również jak mówią — na psy zeszła.

Dr. Łebiński zainstalował się z wielką ostentacją na redaktorskiem krześle i wystąpił z bardzo szumnym, lecz bardzo nędznie napisanym artykułem programowym. Nieszczęście chciało, że właśnie w chwili, gdy on uroczyście uderzył w ton ugodowy, wypadki przyniosły nagły zwrot opinji, który pociągnął za sobą nawet Koła polskie w Berlinie. Trzeba było trąbić do odwrotu. Pan Łebiński, najbardziej znany reprezentant byzantynizmu czystej wody, stał się dziś właściwie niemożliwym jako redaktor miarodawczego organu, ponieważ jednak zrobił kontrakt na lat sześć, więc niema nadziei, aby przed upływem tego czasu ustąpił miejsca odpowiedniejszej osobistości.

„Kurjer Poznański“, założony w samem zaraniu walki kulturnej, postawił sobie za zadanie obronę interesów kościoła i duchowieństwa, jest też zupełnie konsekwentnym i najwybitniejszym przedstawicielem klerykalizmu na poznańskim bruku. Czytelnicy krakowskiego „Czasu“ i lwowskiego „Przeglądu“ zaledwie słabe mogą mieć wyobrażenie o klerykalizmie „Kurjera poznańskiego“. Jestto zupełnie średniowieczny obskurantyzm, który nietylko, że nie strawił Darwina i Renana, nie napoczął Nietschego, ale dotychczas jeszcze prochy nieboszczyka Woltera w grobie porusza. Jest przy tem u niego zacietrzewienie partyjne, posunięte do najwyższego stopnia, nieubłagana, bezwzględna nienawiść do wszystkiego, co granice cenzury kościelnej przekracza, tak dalece, że nie darował nawet ks. Gnatowskiemu za względnie przychylną ocenę talentu Konopnickiej. Najmniej sympatycznym rysem tego klerykalizmu jest na wielką skalę prowadzone geszefciarstwo katolickie, handel świętościami, dochodzący do bezczelności, jawne i bezwstydne napędzanie grosza do księżych kieszeni i podszywanie swoich drukarskich i wydawniczych spekulacji pod firmę kościoła. Dochodzi do tego, że krytyka wydawnictw Hompeszowych, choćby to były liche tłómaczenia lichych francuzkich romansów — piętnowaną bywa jako bezbożność, zaczepianie kościoła i religji katolickiej. „Kurjer“ np. zwalczał zwyczaj wieńczenia trumien i sadzenia kwiatów na grobach, dowodząc, iż to jest postępowanie pogańskie, a prawy katolik tylko przez zakupywanie mszy cześć umarłym oddawać powinien. „Kurjer“ proponował również opodatkowanie wszystkich dusz katolickich od 12 roku życia na rzecz Domu katolickiego, w którymby się mieściła sala do posiedzeń dla katolickich stowarzyszeń (bez różnicy narodowości naturalnie) handel *dewocjonalji i last not least* — kasyno katolickie.

Od chwili pomyślnego dla kościoła zakończenia walki kulturnej, zaznaczył się w „Kurjerze“ bardzo jaskrawo kierunek ugodowy. Artykuły w tem piśmie zamieszczane (np. Polityka przyszłości) zainaugurowały kurs nowy i torowały mu drogę. Dr. Łebiński był wtedy stałym współpracownikiem „Kurjera“ i z pod jego pióra podobno wychodziły te elaboraty, które najwięcej oburzenia u zdrowo myślących Polaków wywołały. Jemu mianowicie przypisują artykuł na dzień urodzin cesarza w roku 95-tym pomieszczony, a przyznający pomazańcowi Bożemu nieomylność, której my bezwzględnie ufać i bezwzględnie poddać się musimy. Ponieważ jednak w katechizmie katolickim obok dogmatu nieomylności papieskiej, niema dogmatu nieomylności królewskiej, więc tym razem wywołał „Kurjer“ bardzo niepożądane dla siebie „dementi“ ze strony arcybiskupa, który w liście otwartym solidarności z tem pismem publicznie się wyparł.

„Goniec Wielkopolski“ był niegdyś bardzo ruchliwem, bardzo wojowniczem pismem i niemały wpływ na szerokie masy wywierał. Odbijał się w nim duch i nastrój tej, dziś już wygasłej generacji, która w czasie walki kulturnej wysoko sztandar narodowy dzierżyła, łączyła ze sztandarem katolickim i w zupełnie dobrej wierze interesa kościoła z interesami ojczyzny identyfikowała, nie mając najmniejszej ochoty poświęcania jednych dla drugich. Było to pismo pod względem patrjotyzmu radykalne, „Intransigeant“ narodowy, domagający się uszanowania traktatów wiedeńskich i zapowiadający wskrzeszenie Polski od morza do morza. Był w niem obok wybitnie katolickiego charakteru, pewien odcień mistyczny, przypominający schyłkową dobę romantyzmu polskiego, był demokratyzm szczery, ale trochę szlachecki, nie uznający odrębnych klasowych interesów, lecz uznający równouprawnienie warstw wszystkich. W niektórych poglądach politycznych zbliżał się do ultramontanizmu, walczył o władzę świecką dla papieża, popierał legitymizm francuzki i prorokował powrót Burbonów do władzy, z drugiej jednak strony zachowywał pewną niezależność zdania i ani sutanna, ani fiolety, ani nawet kardynalska purpura nie odbierały mu rezonu. — Solidaryzował się zresztą zupełnie z działalnością polityczną Niegolewskiego i szedł z nim zawsze ręka w rękę. „Goniec Wki.“, miał wielu nieprzyjaciół dzięki swej niezależności zdania i ostrej — ciętej, zamaszystej krytyce faktów i ludzi, którzy z jego kierunkiem w opozycji stali. Jego *bête noire* był p. Kościelski. Możnaby ułożyć cały tomik z komentarzy, któremi mowy tego posła opatrywał, — a książeczkę taką czytałoby się z pewną satysfakcją, tyle tam było prawdy dobitnie, jędrnie, dowcipnie wyrażonej. Walka ta drogo opłaconą została. Sformowała się wprost liga, dążąca do zabicia „Gońca Wgo.“, utworzono rywalizujące z niem pisemko, Wielkopolanina, bojkotowano go niemiłosiernie i istotnie pozbawiono go więcej, niż połowy prenumeratorów. Od tej pory zresztą i wartość „Gońca Wgo.“ bardzo upadać zaczęła. Były tam jeszcze bardzo treściwe i jędrne wstępne artykuły, ale poza tem wszystkie inne działy stanowiły obraz nędzy i upadku zupełnego. Po śmierci swego założyciela L. Rzepeckiego — „Goniec Wki“ stracił i to ostatnie znaczenie. Wszelkie próby ożywienia pisma, przystosowania go do nowych warunków rozbiły się o nieprzezwyciężone przeszkody i dzisiejszy „Goniec Wki“, jest tylko bladem echem przeszłości. Obecna redakcja usiłuje utrzymać ton, nastrój, kierunek dawniejszy, co w gruncie rzeczy jest wysiłkiem daremnym i bezcelowym, gdyż ani zmarłych ludzi z ich myślami i uczu-

ciami wskrzesić nie można, ani też biegu wypadków, rozwoju wciąż zmieniających się warunków żadna potęga ziemska nie wstrzyma! To też dzisiejszy „Goniec Wki“ — robi na czytelnika takie wrażenie, jak np. — arja z Marty, na katarynce wygrywana. Mogło to być kiedyś ładne, ale dzisiaj i muzyka przestarzała i instrument fałszywy. Przy całej bowiem silnej chęci zachowania dawnego programu, nie udaje się to obecnym kierownikom, którzy go nawet nie rozumieją. Charakterystycznym dowodem jest przed kilku miesiącami drukowane w tem piśmie wezwanie, aby wobec hecy antypolskiej hakatystów udać się z zażaleniem do króla, — wychodząc z tej zasady, że jesteśmy nieprawnie do cesarstwa niemieckiego włączeni, na mocy traktatów zaś uznajemy naszą przynależność do dynastji. — Nie wchodząc już w krytykę zasadniczej podstawy, tj. aprobaty traktatów wiedeńskich, które były właściwie 4-tym rozbiorem Polski, z praktycznego punktu widzenia rada ta była całkiem naiwną. Już samo pomijanie narodu - w państwie konstytucyjnem, a załatwianie interesów naszych prywatnie w porozumieniu z monarchą trąci archaizmem, niezgodnym z naszem cywilizacyjnem stanowiskiem. I to przecież nie jest tajemnicą, że ów król sam zainaugurował zwrot dla nas nieprzychylny, że go popiera, że jest najreakcyjniejszym z despotów — na szczęście jednak najniezręczniejszym, najmniej konsekwentnym. (Dok. nast.).

MARCELI PREVOST.

Mąż panny Adeli.*)

Zdaje mi się, że niedługo już tułać się będę po tym padole płaczu. W życiu mojem, — w życiu pogodzonej z losem starej panny, – dość pogodnem, pomimo samotności, — jedno tylko było zdarzenie. Zdarzenie to znikło, przeminęło, a raczej nigdy nie istniało: było złudzeniem. Dziś pozostaje mi już tylko ulubiony piesek Filutek, melodykon oraz troska o zbawienie wieczne. Hm! to nie wiele. Gdybym była młodą, zawiedzioną w miłości dziewczyną, szukałabym może osłody w zwierzeniach, przelanych na karty ślicznie oprawnego zeszyciku... Ale w czterdziestym trzecim roku nie nabywa się już nowych nawyknień!

Kochałam i byłam kochaną od czternastej wiosny życia aż dotąd, to jest do wczorajszego popołudnia. Czy wiele kobiet wśród najznakomitszych piękności Paryża i Londynu mogłoby się czemś podobnem pochwalić? I nigdy sprzeczki ani sprzeniewierzenia sie, dwadzieścia dziewięć lat idealnej miłości.

Oto jak się ta historja zaczęła:

Mój ojciec, skromny funkcjonarjusz przy urzędzie podatkowym, należał do kategorji ludzi, którzy nie wydostają się nigdy na wyższe szczeble drabiny społecznej, bo śmielsi, zręczniejsi, bardziej protegowani umieją ich w tem uprzedzić. Pozostał też do śmierci na tej samej posadzie w Givry, którą otrzymał nazajutrz po ślubie.

Tam więc w Givry, urodziłam się i wzrosłam, tam zabrałam znajomość z „moim mężem“. Tak od pierwszej chwili spotkania zaczęliśmy nazywać: ja, moi i jego rodzice młodziutkiego Lucjanka, który przyjeżdżał na wakacje do domu swoich rodziców, a naszych sąsiadów. Lucjan był synem kontrolera przy dyrekcji skarbowej, obarczonego rodziną poczciwca, który z wielkim trudem utrzymywał z lichej pensyjki siebie, żonę i pięcioro dzieci. W porównaniu do Letertrów moi rodzice, którzy posiadali niewielki kapitalik i mieli jedno tylko dziecko, mogli uchodzić niemal za ludzi majętnych. Wyrachowanie więc nie grało żadnej roli w zgodzeniu się mojem na „małżeństwo“ z Lucjanem. Zresztą mieliśmy wówczas oboje po czternaście lat — on był starszy odemnie o dwa miesiące – a w tym wieku pieniądze nie wpływają na postanowienia.

Tworzyliśmy z Lucjanem wcale sympatyczną parę zakochanych. On, nieśmiały, bardzo dobry, cokolwiek zamknięty w sobie, ulegał mi we wszystkiem, i bezwarunkowo. Wmówiłam mu, że jest moim mężem, uwierzył na słowo. A być moim mężem, znaczyło to wówczas dzielić wszystkie moje zabawy i zajęcia, jak przystało na dobrego braciszka, spędzającego w rodzinie wakacje. Zamienialiśmy między sobą od czasu do czasu pocałunki, a sprawiało nam to tyleż prawie wzruszenia, co klapsy i szczutki, bez których też się nie obeszło.

Mieliśmy ośmnaście lat, gdy ręka losu nas rozłączyła. Dzięki protekcji posła z naszego okręgu, rodzice Lucjana znaleźli dla niego miejsce towarzysza podróży u bardzo bogatego Anglika, który przebiegłszy w młodości świat dla interesów, chciał go zwiedzić na schyłku życia dla przyjemności.

Lucjan, chociaż szczerze zmartwiony zbliżającą się chwilą pożegnania, upajał się myślą o cudach i dziwach dalekich krajów, które miał

*) Oryginał niniejszego szkicu mieści się w świeżo wydanym przez paryzkiego nakładcę, Lemerra, zbiorze nowel Marcelego Prevosta. Ostatnią tę serję wdzięcznych swych obrazków autor ogłasza — podobnie jak dwie pierwsze — pod zbiorowym tytułem: »Lettres de Femmes«. (Przyp. tłum.)

wkrótce na własne oglądać oczy... Nie zapomniał przytem o planach na przyszłość:

— Skoro tylko zarobię u Robinsona Soapa dostateczną ilość gwineji, puszczę kantem mego starego fabrykanta mydła i zaraz wrócę do Givry, aby się z tobą ożenić...

Ile czasu będzie wymagało uzyskanie owej *dostatecznej ilości gwineji*, tegośmy nie wiedzieli dokładnie, sądziliśmy jednak, że niezbyt wiele i że nie lata, ale co najwyżej miesiące dzielą nas od upragnionej chwili. Dałam się więc unieść radości Lucjana i w rozstania się naszego godzinie były łzy, ale były też i uśmiechy.

Działo się to przed... dwudziestu pięciu laty. Dwadzieścia pięć lat! Taki mniej więcej okres czasu wystarcza najczęściej kobiecie do stworzenia rodziny, a nieraz do zostania babcią! Co do mnie, oczekiwałam zamęścia, rodziny, życia przez dwadzieścia pięć lat. Wiem, że nikt by mi nie uwierzył, lub że odsądzono by mię od zdrowych zmysłów, gdybym się przyznała do tego nie przed własnem sumieniem, lecz przed żywą jaką istotą. A jednak to prawda. Przez dwadzieścia pięć lat treścią mego życia — i jego radością było to, że kocham i jestem kochaną. Los bynajmniej nie szczędził mi ciosów: straciłam ojca, później matkę, szczupłe moje fundusze zmniejszyły się o połowę wskutek nieuczciwości rejenta, pomimo to nie straciłam energji ani nadziei, ufna w przyszłość, która miała mi to wszystko z lichwą wynagrodzić...

Nie widziałam się wprawdzie w ciągu tych dwudziestu pięciu lat ani razu z Lucjanem, ale wierzyłam święcie w jego listy, które dochodziły mię dość regularnie. W listach owych nie było nic takiego, coby mogło rzucić cień wątpliwości w moje serce: tchnęły one, podobnie jak moje do niego, szczerą przyjaźnią. Ileż to krajów przesunęło się w ciągu tych lat przed oczami Lucjana: Egipt, północna część Afryki i wschodnia Europy, Indje, Ameryka. Przebiegł wszystkie te lądy i morza w towarzystwie Robinsona Soapa... Od czasu do czasu przejeżdżał też przez Francję, ale z tak wielkim pośpiechem, że nie mógł ani razu wstąpić do Givry i zobaczyć się z „żoną“. Nazywał mię stale tem imieniem w listach, a ja odpowiadałam: „Drogi mój mężu“.

*
* *

Wczoraj, koło drugiej po południu, gdym powtarzała na melodykonie utwór muzyczny, który mam grać w niedzielę podczas nabożeństwa w kościele, dziewczynka, która mi usługuje, przyszła oznajmić, że jakaś pani chce się ze mną widzieć Była to dawna znajoma moich rodziców, zajmująca obecnie dość wybitne stanowisko głównej inspektorki szkół ludowych. Zatrzymała się w Givry, chcąc się pochwalić powodzeniem przed tymi, którzy znali ją młodą dziewczyną. Rozmawiałyśmy z pół godziny może, wymieniając po koleji nazwiska dawnych znajomych, gdy moja interlokutorka zagadnęła mię nagle:

— Czy utrzymujesz pani jeszcze stosunki z panem Letertre?

— Z Lucjanem Letertre?

— Tak, — z tym, który się ożenił w Anglji, w Derbyshire.

Miałam dość siły, aby odpowiedzieć: „Nie, straciłam go z oczu...“ i prosić o bliższe szczegóły. Udzieliła mi ich z całą uprzejmością. Wysłana przez ministerjum oświaty do Anglji dla zbadania urządzeń wieczornych szkół robotniczych, spędziła świeżo kilka dni w okręgu fabrycznym środkowej Anglji. I kogoż to spotkała w Derby, w zakładach fabrycznych Robinsona Soapa? Oto ni mniej ni więcej tylko „mego męża“, Lucjana Letertre, dziś spadkobiercę starego Robinsona, ożenionego, ojca trojga dzieci..

Płakałam trochę po wyjściu nieoczekiwanego gościa, a potem zaczęłam drwić niemiłosiernie z własnej naiwności, dzięki której sądziłam, że mężczyzna może pozostać wierny przez ćwierć wieku wspomnieniom. Ja sama wprawdzie poświęciłam owym wspomnieniom całą młodość, wyrzekłam się dla nich wszystkiego, co życie mogło mi było dać... Zaczęłam też pisać w tym tonie do Lucjana, wyrzucając mu zwłaszcza gorzko kłamliwe listy. Ale po chwili namysłu odłożyłam pióro. Wszak owym listom właśnie zawdzięczałam dwadzieścia pięć lat szczęścia niemal. Czemże by było moje życie bez tego złudzenia? Lucjan rozumiał to zapewne i dla tego, żeniąc się przed dziewięciu laty z inną kobietą, nie miał serca napisać:

— Zapomnij o mnie, droga Adelko...

Ale dość wyrzekań, dość łez. Chcę i potrafię znieść mężnie bolesny zawód. Ale, ale przychodzi mi pewna myśl do głowy Wszak Lucjan ma troje dzieci. Gdybym też napisała do niego, szczery, serdeczny list z prośbą o przysłanie mi którego z tych ślicznych małych zuchów? Chować go będę może nie tak zbytkownie, jak tam w Anglji, ale nauczę kochać Francję, nauczę go języka, którym wyrażał swe myśli i uczucia jego ojciec w młodocianych latach... Naprawdę, Lucjan nie może mi tego odmówić. A zajęcie się ukochanem maleństwem skróci drogę, wiodącą z mego domu na cmentarz .

Czuję, że wraca mi znowu dawna rzeźkość, spokój, pogoda. Dalej, dalej, stara, szalona Adelo Heudier, weź okulary, co najlepsze pióro i pisz do spadkobiercy Robinsona Soapa.

Odwaga i pobłażliwość przytępiają najostrzejsze nawet groty losu. Będę matką, jak byłam żoną — w wyobraźni! Tłum. *M.*

Z drukarni Z. Golloba.